



JOSEPH CONRAD

Jadro ciemności

*Jadro
ciemności*

JOSEPH CONRAD

Jadro ciemności

Przekład: Aniela Zagórska



Tytuł oryginału: *Heart of Darkness*

Przekład: **Aniela Zagórska**

Tekst *Jądra ciemności* Josepha Conrada na podstawie: Joseph Conrad, *Młodość i inne opowiadania*, tłum. Aniela Zagórska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1956; opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł; na podstawie edycji zamieszczonej w serwisie Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl; CC BY-SA 3.0).

Korekta: **zespół Wydawnictwa SBM**

Projekt makiety i skład: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Ilustracje na okładce: Istockphoto.com: © ZU_09 (Bangala na rzece Kongo, grawer, 1891); Dreamstime.com: © Naokikim, © Olga Lepeshkina, © Marymo

© Copyright for the cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2022

Warszawa 2022



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.
ul. Sułkowskiego 2/2
01-602 Warszawa
www.wydawnictwosbm.pl

ISBN 978-83-8348-001-5

Mojej żonie

*... Lecz karzeł odrzekł: nie; wszystko, co ludzkie,
droższe mi jest od bogactw całego świata.*

Bajki Grimma¹

¹ Motto ze zbioru *Młodość i inne opowiadania*, w skład którego wszedł utwór *Jądro ciemności*.

I

Jacht krążowniczy „Nellie” obrócił się na kotwicy bez najlżejszego trzepotu żagli i stanął bez ruchu. Przyptyw się skończył, wiatr uciął prawie zupełnie, a że jacht kierował się w dół rzeki, nie pozostawało nic innego, tylko zatrzymać się i czekać odpływu.

Przymorski obszar Tamizy rozciągał się przed nami jak początek nieskończonego wodnego szlaku. Morze i niebo w oddali spajały się z sobą bez śladu, a w świetlistej przestrzeni wysuszone na słońcu żagle skut¹, dryfujących w górę z przyptywem, zdawały się tkwić spokojnie w kępach czerwonych, mocno napiętych płócien, błyskając pokostowanymi rejkami². Na niskich brzegach stała mgła, ścieląca się ku morzu coraz cieńszą warstwą. Powietrze było ciemne nad Gravesend, a jeszcze dalej w głąb zdawało się zgęszczać w ponury mrok, skupiony w posępnym bezruchu nad najbardziej rozległym i najpotężniejszym miastem świata.

Naszym kapitanem i gospodarzem był dyrektor różnych towarzystw. Wszyscy czterej spoglądaliśmy ku niemu serdecznie, gdy stał na baku³ tyłem do nas, patrząc w stronę morza. Na całej rzece nie

¹ *szkuta* — niewielki statek rzeczny do przewozu ładunków.

² *reja* — poziome drzewce, u dołu którego mocowany jest żagiel.

³ *bak* — górny pokład w dziobowej części statku.



Frank Boggs, *Barki na Tamizie*, ok. 1906

było nikogo, kto by choć w części wyobrażał postać tak wybitnie marynarską. Przypominał pilota, który dla marynarza jest wcieleniem tego, co zasługuje na najwyższe zaufanie. Trudno było sobie wyobrazić, że teren jego pracy nie leży het tam, u świetlanego ujścia rzeki, lecz w górze Tamizy, wśród posępnego mroku.

Jednoczyła nas — jak już gdzieś powiedziałem — więź morza. Nie tylko nie pozwalała, abyśmy o sobie zapomnieli w czasie długich okresów rozstania, ale uczyła nas wzajemnej pobłażliwości dla naszych opowiadań, a nawet poglądów. Prawnik — najmilszy z towarzyszy — miał ze względu na pokaźną ilość lat i cnót jedyną poduszkę na pokładzie i leżał na jedynej derce. Buchalter wydobył już pudełko z dominem i zabawiał się ustawianiem domków z kostek. Marlow siedział, skrzyżowawszy nogi, w głębi rufy, oparty o tylny maszt. Miał zapadłe policzki, żółtą cerę, proste plecy, wygląd ascety, a ze swymi obwisłymi ramionami i rękami leżącymi na kolanach dłonią ku górze podobny był do bożka. Dyrektor, upewniwszy się, że kotwica dobrze trzyma, przyszedł na rufę i zasiadł między nami. Zamieniliśmy leniwie kilka słów. Potem zapadło na jachcie milczenie. Dla jakiejś tam przyczyny nie rozpoczynaliśmy partii domina. Opanowała nas zaduma i byliśmy zdolni tylko do spokojnego patrzenia przed siebie. Dzień się kończył wśród cichej pogody, wspańiałej, nieskazitelnej. Woda jaśniała spokojnie, niebo bez żadnej plamki było dobrotliwym bezmiarem nieskalanego światła; nawet mgły na mokradłach Essexu wyglądały jak zwiewna, promienista tkanina, która zawisała z lesistych wyniosłości w głębi łądu, układając się na niskich brzegach w fałdy przejrzystej draperii. Tylko ku zachodowi mrok tkwił posępnie nad górnym biegiem rzeki i ściemniał się z każdą minutą, jakby rozgniewany zbliżaniem się słońca.

Wreszcie słońce zsunęło się nisko, zakreślając niedostrzegalny łuk, i od gorejącej białości przeszło w ciemną czerwień bez promieni i bez ciepła, jakby miało nagle zagasnąć, rażone śmiercią przy zetknięciu z owym mrokiem ścielącym się posępnie nad ciżbą ludzi.

Woda zmieniała oblicze natychmiast, a pogodna jasność stała się mniej świetna, lecz jakby głębsza. Stara rzeka, rozlana szeroko, wypoczywała bez ruchu u schyłku dnia — po całych wiekach dzielnej służby u rasy zaludniającej jej brzegi — rozpostarta spokojnie w swej godności wodnego szlaku wiodącego do najdalszych krańców ziemi. Nie patrzyliśmy na czcigodną rzekę przelotnym spojrzeniem krótkiego dnia, który zjawia się i odchodzi na zawsze, ale widzieliśmy ją w dostojnym świetle trwałych wspomnień. I zaiste, nic łatwiejszego dla ludzi, którzy — jak to się mówi — „poświęcili się morzu” z szacunkiem i przywiązaniem, niż wywołać wielkiego ducha przeszłości na przymorskim obszarze Tamizy. Przyływ i odpływ biegną tam i z powrotem w nieustającej służbie, przepełnione wspomnieniami o okrętach i ludziach, których niosły ku domowemu wytchnieniu lub ku walkom na morzach. Prądy te znały wszystkich mężów, którymi szczyli się naród, i służyły im wszystkim — od sir Francisa Drake’a¹ do sir Johna Franklina² — rycerzom utytułowanym lub nie, wielkim błędnym rycerzom morza. Prądy te dźwigały wszystkie statki, których imiona są jak drogie kamienie błyszczące w pomroce wieków, od „Złotej Łani”³ powracającej z łonem pełnym skarbów — statku, co po odwiedzinach jej królewskiej mości znika z gigantycznej opowieści — aż do „Erebu” i „Terroru”⁴, które puściły się na inne podboje, aby nigdy nie wrócić. Prądy te znały i okręty, i ludzi. Znały tych, co wypłynęli z Deptford, z Greenwich, z Erith — awanturników i osadników; znały okręty królewskie i okręty finansistów, kapitanów, admirałów, znały ciemne figury z handlu ze Wschodem i upełnomocnionych „generałów” wschodnio-

¹ *Drake, Francis* (1540—1596) — angielski kaper (licencjonowany pirat), żeglarz i polityk brytyjski, jako pierwszy Anglik opłynął kulę ziemską.

² *Franklin, John* (1786—1847) — brytyjski admirał, badacz Arktyki, zginął w trakcie nieudanej ekspedycji badawczej.

³ *Złota Łania* — statek, na którym sir Francis Drake opłynął świat.

⁴ „*Ereb*” i „*Terror*” — statki zaginione razem z całą arktyczną ekspedycją sir Johna Franklina.

-indyjskich flot. Łowcy złota lub łowcy sławy, wszyscy płynęli tą rzeką, dzierżąc miecz, a często i pochodnię — wysłannicy potęgi z głębi kraju, niosący iskry świętego ognia. Któraż wielkość nie płynęła z prądem tej rzeki, dążąc ku tajemnicy nieznanych ziem...! Marzenia ludzkie, nasiona rzeczypospolitych, zarodki cesarstw.

Słońce zaszło, zmierzch padł na rzekę i światła zaczęły się ukazywać wzdłuż brzegu. Latarnia morska Chapmana, stojąca na trzech nogach wśród błotnej łąwicy, rzuciła silny blask. Okrętowe światła dążyły żeglownym szlakiem — odbywał się wielki ruch światelek w górę i w dół rzeki. A dalej na zachód, nad górnym biegiem, leże miasta-olbrzyma znaczyło się wciąż złowieszczco na niebie — posępna mgła w słońcu, mętnym blaskiem pod gwiazdami.

— A i to miejsce — rzekł nagle Marlow — było ongi jednym z mrocznych zakątków ziemi.

On jeden jedyny spośród nas wciąż jeszcze „służył na morzu”. Najgorszy zarzut, jaki mógł spotkać Marlowa, to że nie był on typowym przedstawicielem swego zawodu. Był marynarzem, ale był również wędrowcem, gdy tymczasem większość marynarzy prowadzi, jeśli można się tak wyrazić, życie osiadłe. Ich usposobienie należy do kategorii domatorskich, a dom zawsze jest z nimi — okręt; tak samo jak ich kraj — morze. Jeden okręt jest bardzo podobny do drugiego, a morze zawsze jest jednakowe. Wśród niezmienności otoczenia obce wybrzeża, obce twarze, zmienny ogrom życia przesuwają się koło nich przesłonięte bynajmniej nie poczuciem tajemnicy, lecz nieco pogardliwą niewiedzą; gdyż nie ma dla marynarza nic tajemniczego — chyba samo morze, które jest władcą jego istnienia, władcą równie niezbędnym jak los. Co zaś do reszty świata, przypadkowy spacer poza godzinami służby lub przypadkowa pijatyka na wybrzeżu wystarcza, aby odsłonić przed marynarzem tajemnicę całego kontynentu, i marynarz uważa na ogół, że tajemnica nie była warta poznania. Opowiadania żeglarzy są proste, bezpośrednie i zbytkiem sensu nie grzeszą. Lecz Marlow nie był typowym

zeglarem (wyjawszy jego skłonność do opowiadań) i według niego sens jakiegoś epizodu nie tkwił w środku jak pestka, lecz otaczał z zewnątrz opowieść, która tylko rzucała nań światło — jak blask oświetla opary — na wzór mglistych aureoli widzialnych czasem przy widmowym oświetleniu księżycu.

Uwaga Marlowa nie zaskoczyła nas wcale. To było zupełnie w jego stylu. Przyjęliśmy ją w milczeniu. Nikt nie zdobył się nawet na mruknięcie, a on wkrótce zaczął znów mówić powoli:

— Mam na myśli bardzo dawne czasy, kiedy Rzymianie przybyli tu po raz pierwszy, tysiąc dziewięćset lat temu — wczoraj... Światło było później z tej rzeki — wspominaliście o rycerzach? Tak, ale to wszystko jest jak blask przebiegający równiną, jak błyskawica wśród chmur. Żyjemy w tym blasku — oby trwał, póki stara ziemia toczyć się będzie! Lecz wczoraj była tu ciemność. Wystawcie sobie uczucia dowódcy pięknej — jak to się nazywało? — tryremy¹ na Morzu Śródziemnym, dowódcy odkomenderowanego nagle na północ: przebiega Galię w pośpiechu; powierzają mu jeden z tych statków, które legionisci — musieli to być cudowni ludzie i bardzo obrotni — budowali, jak się zdaje, całymi setkami w przeciągu miesiąca lub dwóch, jeśli można wierzyć temu, co się czyta. Wyobraźcie go sobie tam: istny koniec świata, morze barwy ołowiu, niebo barwy dymu, okręt o zwartości concertiny² — a dowódca prowadzi go w górę rzeki, wioząc zapasy czy rozkazy, czy co tam chcecie. Ławice piasku, bagna, lasy, dzicy ludzie, znikoma ilość pożywienia odpowiedniego dla cywilizowanego człowieka, a do picia nic prócz wody w Tamizie. Falerneńskiego wina³ ani śladu; wysiadać na brzeg nie można. Tu i tam obóz wojskowy zagubiony w dziczy jak igła w kopcu siana — zimno, mgła, burze, choroby, wygnanie i śmierć czatująca w powietrzu, w wodzie, w gąszczu. Musieli tu ginąć jak muchy. Ale z pewnością dowódca

¹ *tryrema* — trirema, starożytny okręt wojenny z trzema rzędami wiosł.

² *concertina* — odmiana akordeonu.

³ *falerneńskie wino* — wino z okolic Neapolu.

poprowadził bardzo dobrze tę wyprawę, niewiele o tym myśląc — chyba później, kiedy się chełpił wszystkim, co przeszedł swojego czasu. Byli to ludzie dość mężni, by stawić czoła ciemności. A może takiemu dowódcy dodawała ducha nadzieja, że zostanie się z czasem do floty w Rawennie — jeśli miał dobrych przyjaciół w Rzymie i jeśli wytrzymał straszny klimat.

Albo wyobraźcie sobie, że przyzwoity, młody obywatel w todze — może cokolwiek za gorliwie uprawiający grę w kości — zjawia się tutaj w świetle jakiegoś prefekta albo poborcy podatków, albo wreszcie kupca, by poprawić swój los. Łąduje na trzęsawisku, maszeruje przez lasy i osiadłszy na jakiejś placówce w głębi łądu, czuje, że dzicz, ostateczna dzicz zamknęła się wkoło niego — tajemnicze życie dzicy, które tętni w lesie, w dżungli, w sercach dzikich ludzi. Nie ma wtajemniczenia w takie misteria. Nasz obywatel musi żyć pośród niepojętego, które jest także czymś obrzydłym. A jednocześnie to niepojęte ma czar, który zaczyna na niego działać. Czar ohydy, rozumiecie? Wyobraźcie sobie rosnący w tym człowieku żal, pragnienie ucieczki, bezsilny wstręt, poddanie się, nienawiść.

Zamilkł.

— Zważcie — zaczął znów i siedząc ze skrzyżowanymi nogami podniósł rękę obróconą dłonią na zewnątrz, zupełnie jak Budda nauczający w europejskim ubraniu i bez lotosu — zważcie, że żaden z nas nie czułby tego samego. Ratuje nas wiara w skuteczność naszej pracy — poświęcenie się dla niej. Ale tamci ludzie nie przedstawiali doprawdy nic nadzwyczajnego. Kolonistami nie byli; podejrzewam, że ich administracja nie różniła się niczym od ucisku. Byli zdobywcami, do tego zaś potrzeba tylko bezmyślnej siły; i nie ma się czym szczyścić, jeśli się ją posiada, ponieważ siła ta jest po prostu przypadkiem i wypływa ze słabości innych. Zagarniali, co mogli, ze zwykłej chciwości. Była to po prostu kradzież z włamaniem, masowe morderstwo na wielką skalę, a ludzie rzucali się w to na oślep — jak przystoi tym, którzy napastują mrok. Zdobywanie ziemi, polegające

przeważnie na tym, że się ją odbiera ludziom o odmiennej cerze lub trochę bardziej płaskich nosach, nie jest rzeczą piękną, jeśli się w nią wejrzy zbyt blisko. Odkupia ją tylko idea. Idea tkwiąca w głębi; nie sentymentalny pozór, tylko idea; i altruistyczna wiara w tę ideę — coś, co można wyznawać i bić przed tym pokłony, i składać ofiary...

Urwał. Płomyki ślizgały się po rzece: małe, zielone płomyki, czerwone płomyki, białe płomyki, które się ścięgały nawzajem, dopędzały, łączyły, krzyżowały — aby się rozstać śpiesznie lub powoli. Ruch handlowy wielkiego miasta trwał na bezsennej rzece wśród gęstniejącego mroku.

Przypatrywaliśmy się, czekając cierpliwie — nic innego nie można było robić aż do końca przypływu; lecz dopiero po dłuższym milczeniu Marlow rzekł wahająco: — Pamiętacie pewno, koledzy, że byłem czas jakiś marynarzem na słodkich wodach — i wówczas wiedzieliśmy już, że jest nam sądzone, nim zacznie się odpływ, wysłuchać jednej z rozlicznych przygód Marlowa, niedoprowadzających do żadnej konkluzji.

— Nie chcę nudzić was długo tym, co spotkało mnie samego — zaczął, zdradzając tą uwagą słabość właściwą wielu gawędziarzom, którzy tak często zdają się nie wiedzieć, co ich słuchaczy najbardziej interesuje — lecz aby zrozumieć wpływ, jaki to na mnie wywarło, musicie wiedzieć, jak się tam znalazłem, co zobaczyłem, jak popłynąłem w górę rzeki aż do miejsca, gdzie spotkałem się po raz pierwszy z tym nieborakiem. Był to najdalszy punkt mojej wyprawy i kulminacyjny punkt mych przeżyć. Rzucił jak gdyby pewien rodzaj światła na to, co mnie otaczało, i na moje myśli. Wszystko to było dość ponure i żałosne, i wcale nie nadzwyczajne — i nie bardzo jasne. Nie, nie było bardzo jasne. A jednak zdaje mi się, że rzuciło pewnego rodzaju światło.

Powróciłem wówczas, jak pamiętacie, do Londynu po dłuższej żegludze na Oceanie Indyjskim, Spokojnym, na morzach chińskich, po porządnej porcji Wschodu — trwało to około sześciu lat.